

Niejaki Jakub Banasiak.

<http://magazynszum.pl/krytyka/zdzislaw-beksinski-jako-totalne-dzielo-sztuki>

Facet nie cierpi malarstwa Beksa. Przy okazji krytyki książki Grzebałkowskiej pisze o nim wszystkie możliwe złośliwości

Pod koniec lutego ukazała się książka Małgorzaty Grzebałkowskiej *Beksińscy. Portret Podwójny*. Kapitalna. Jednak nie dlatego, że opowiada o artyście, jego życiu i rodzinie: synu Tomaszu i żonie Zofii. To, kim z zawodu był Zdzisław Beksiński, jest dla tej opowieści drugorzędne. Dlatego zacznijmy właśnie od kwestii najmniej istotnej i powiedzmy od razu – Beksiński był malarzem fatalnym. Dosłownym, patetycznym, przewidywalnym, wtórnym, infantylnym. Fotografem był natomiast – może nie znakomitym, ale na pewno do wybitności pretendującym, jak na czas swoich pierwszych prób (i, jak się miało okazać, ostatnich) – poszukującym i odważnym. Rację miała Dorota Jarecka, kiedy w 1995 roku pisała: „Kiedy patrzy się na zdjęcia z lat pięćdziesiątych, trzeba zaprzeczyć tym, którzy twierdzą, że artysta odnalazł się dopiero w malarstwie. Jest moim zdaniem przeciwnie – oto świetny, odkrywca fotografik zaczął zajmować się malarstwem, w którym nie znalazł już nic oprócz manieri”.

Kiedy mamy już za sobą detale, przejdźmy do sprawy najważniejszej – otóż był Beksiński naturą przedziwną. Posiadał charyzmatyczną osobowość, ale jego charyzma przejawiała się w osobliwy sposób: Beksiński raczej odpychał niż przyciągał. Był typem autystycznym, jakby zasklepionym, ale jednocześnie władczy; był mizantropem i paranoikiem, szczegółiarzem i obsesjonatem. Lepiej więc może po prostu powiedzieć: był ekscentrykiem, choć przy tym formacie obsesji słowo to wydaje się eufemizmem. Bał się dzieci (kiedy któreś oślepiało go szkiełkiem z okna sąsiedniego bloku, czekał aż przestanie i dopiero wtedy wracał do pracy), innych ludzi (w ogóle: rozmów, kontaktów), najmniejszych odstępstw od rutyny, ale miał także fobie prozaiczne: nienawidził pajaków (histerycznie) i podróży (cierpiał na „nerwicową sraczkę”, komfort wypróżniania zapewniał mu wyłącznie własny sedes). W 1961 roku dostał propozycję półrocznego stypendium w Muzeum Guggenheima w Nowym Jorku – z powodu rozmaitych lęków odmówił. Grzebałkowska pisze: „Roztrój żołądka powodują u niego: niespodziewana wizyta, oczekiwany gość, rewizyta, oficjalne spotkanie, podróż, mieszkanie z kimś w pokoju (poza Zosią), nocowanie u kogoś, stanie w kolejce, czekanie na windę. Skręca go na myśl o długiej podróży samolotem”.

Wyjazd do Nowego Jorku gwarantował wszystkie te atrakcje.

Mieszkanie w bloku na warszawskim osiedlu Służew nad Dolinką, do którego wprowadził się z rodziną w 1977 roku, zamienił w grotę, labirynt pełen wąskich przesmyków i zakamarków. Aż dziw, że M-4 Beksińskich nie zawałiło się od nagromadzonych sprzętów: sztalug, obrazów, szafek, szafeczek, całych systemów półek, kserokopiarki, z czasem kilku lodówek... (Co wielka płyta, to wielka płyta; dzisiejsze domki z karton-gipsu by tego nie wytrzymały). W warszawskim mieszkaniu powtórzył układ i charakter rodzinnego domu

w Sanoku. Kiedy jeszcze tam mieszkał, koledzy syna Beksińskiego – Tomasza – zachodzili do domu malarza z taką ekscytacją, jakby właśnie wjeżdżali do tunelu strachu. I ojciec, i syn, świadomie tę atmosferę podsycali. W Warszawie Zdzisław szybko kupi Tomaszowi mieszkanie na tym samym osiedlu. Grzebałkowska nazywa je „kryptą”, było jednak sterylne: jeden pokój wypełniony płytami, drugi kasetami VHS. Nie mogło być inaczej – Beksiński junior żył fikcją, własne życie teatralizował, a siebie obsadził w głównej roli nieszczęśliwego amanta. W przeciwieństwie do ojca nie potrafił udawać, dlatego powszechnie odbierano go jako antypatycznego egoistę. Piotr Dmochowski, wieloletni marszand artysty, tak napisze o relacjach Tomasza z rodzicami: „Żyje na ich rachunek jak wesz łonowa i odzywa się do nich jak esesman w obozie koncentracyjnym do świeżo przybyłych więźniów”. Dmochowski przesadził, ale niewiele. Zdzisław Beksiński do końca miał poczucie, że nie dość kochał syna, nie okazywał mu uczuć, nie przytulał go. Nie przytulał zresztą nikogo – brzydził się bliskością, stykiem dwóch ciał.

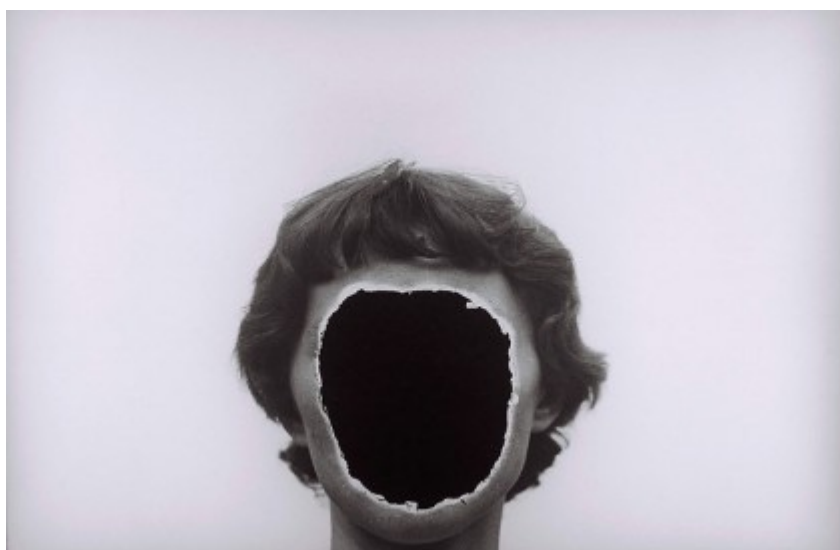
Zdzisław Beksiński miał doskonale nijaką aparycję, w wieku dojrzałym wyglądał jak urzędnik, potem jak najzwyczajniejszy emeryt, który codziennie rano udaje się do sklepu po bułki i mleko. Okulary, dżinsy, szelki. Sporządzić jego rysopis pamięciowy – rzecz niemożliwa. Ale „Beks” nie był zwyczajny; albo inaczej – był zwyczajny do granic. Jego idealny dzień: śniadanie, malowanie, obiad, malowanie, kolacja, telewizja (z żoną), spać. Kiedy polubił jakiś produkt (nie potrawę, nie danie, nie smak – produkt), kupował kilkadziesiąt opakowań. Ulubiona kawa, akurat pojawiła się w Pewexie – sto słoików. Idealny papier do kserokopiarki, medium odkrytego przez artystę u progu lat 90. – od razu czterysta (!) kilogramów. Sprawdzone żarówki – pięćdziesiąt sztuk. W epoce pustych półek czyhał aż „rzucą” to czy tamto, gnał do sklepu, kupował hurtem – i wypełniał jedzeniem tapczan i szafki. 40 kilogramów cukru, trzy transportery piwa, czterdzieści konserw, pasztety w puszcze, mleko skondensowane... Píše potem do przyjaciela, że nie wie gdzie co schował. Do mycia pędzli kilkadziesiąt kostek mydła, do tego zapas przyborów do malowania. I największe dobro: cztery worki papieru toaletowego.

Napisałem „gnał do sklepu”, ale to nie Beksiński robił zakupy. Beksiński zawiadywał. Nie miał prawa jazdy. Zasiadał w samochodzie na fotelu pasażera obok żony i kierował – to znaczy wydawał polecenia. Żeby zwiększyć szanse na zakup niezbędnych artykułów w czasach permanentnego niedoboru, załatwia pozwolenie na krótkofalówkę Echo-4. Ma w planie komunikować się z żoną w większym samie, żeby mogli rozejść się do różnych półek i zwiększyć efektywność zakupów. Radiotelefon okazuje się buble, zwraca go do sklepu.

Zofia była jego wielką miłością (i wzajemnie), ale – nienowa to historia – także fundamentem jego fobii, dziwactw i natręctw. Beksiński funkcjonował (chciał funkcjonować) jak dobrze naoliwiony mechanizm, poruszał się (chciał się poruszać) jak po szynach, bez kolizji i zbędnych przystanków. Potencjalne zmiany – od najmniejszych do większych – przerażały go. Umożliwiała mu to żona, poświęcając mu się bez reszty. To ona sprawiała, że mechaniczny mikrokosmos Beksińskiego działał. W ten sposób malarz mógł odseparować się od tego, czego nienawidził najbardziej: pospolitości, przeciętności, amorficzności towarzyszącej każdemu toczonemu bezwiednie żywotowi. Kiedy Zofia Beksińska wiedziała już, że umiera, zadbała nawet o to, żeby przygotować mężowi „instrukcję obsługi życia”: co ile zmienia się pościel, co i jak się pierze, jakie produkty szybko psują się w lodówce. Beksiński wszystko zapisuje w notesie, ale po śmierci żony redukuje swoje życie do podstawowych czynności. Sprzątanie zleca. Wszystkie roboty

w domu wykonuje Kazimierz Handler, złota rączka. Beksiński – pedant – ceni go za dokładność co do milimetra (skrupulatnie to sprawdza). W jednym z listów pisze: „Na 10 000 rzemieślników reklamujących się w prasie jako »szybko, fachowo i tanio« 9999 jest idiotami. Jeśli się w końcu trafi w drodze przypadku na kogoś takiego jak pan Kazimierz, to się już go człowiek trzyma i poniekąd od niego uzależnia”.

Nie gotuje, uważa, że w skali całego życia to gigantyczna strata czasu (oblicza ją jak dokładnie). Po śmierci żony żywi się krakersami maczanymi w serku, popija je colą. Z czasem organizuje sobie życie – tak jak potrafi. Wykupuje więc kawalerkę przez ścianę z własnym mieszkaniem. Teraz to już naprawdę duży metraż. Kupuje trzy lodówki, w których trzyma zapas wołowiny w sosie własnym (w konserwach, ok. 100 sztuk), robi magazynek na zgrzewki z napojami i soki. Śniadanie: chleb chrupki, sok grejpfrutowy, cola. Potem obiad: Pizza Hut, McDonald (blisko bloku, ulubiona kanapka: McRoyal), Tele Pizza, KFC. Idealne, bo zawsze smakują tak samo. I kolacja: tubka mleka skondensowanego i lody. Kiedy chce schudnąć, przez kilka tygodni je wyłącznie kiszzone ogórki. Używa tylko jednorazowych talerzy i sztućców. Gdy kupował bieliznę, brał wiele identycznych kompletów. Zawsze te same koszule. Zero przypadku.



Portret żony, 1956–1957

W kontaktach bezpośrednich (jeśli już do nich dochodziło) z postronnymi osobami był bardzo uprzejmy, w korespondencji ze znajomymi i prowadzonym z rygorem dzienniku – jadowity i protekcjonalny. Beksiński nie rozmawiał – Beksiński informował i pouczał. Z trudem skrywał irytację, nie potrafił zrozumieć, jak ktoś „tego” nie rozumie, jak może być „tak” niedokładny, przecież tłumaczył „tyle” razy. Bo najbardziej nie znosił niedokładności, gapiostwa, drobnych błędów (czyli tych najbardziej kolosalnych, wszak to przez nie, jak przez pierwszą kostkę domina, wali się wszystko). To wtedy najsilniej manifestowały się jego obsesje. Przez całe dorosłe życie Beksiński to fiksat, typowy *control freak*, który najbardziej na świecie boi się nieprzewidywalności. Przypomnijmy jego prace fotograficzne z końca lat 50.: czarno-białe, silnie erotyczne, mroczne, pełne atrybutów – jak dzisiaj byśmy powiedzieli – BDSM. Beksiński krępował całkiem dosłownie: wiązał swoją żonę i robił jej zdjęcia, wówczas przełomowe. Przyjaźnił się z Jerzym Lewczyńskim, współtworzył fotograficzną awangardę epoki. To w tym okresie odkrył w sobie masochistę. Wzdychał do kobiet silnych, dominujących, władczych. Czy był niespełniony w tej fascynacji? Czy obsesyjną kontrolą najbliższego otoczenia coś sobie kompensował? Z książki Grzebałtowskiej wynika, że Zofia była kobietą ciepłą, opiekuńczą, buforem, dzięki któremu

mógł żyć tak jak chciał (musiał?). Po śmierci żony ogląda strony porno „wyspecjalizowane w sadomasochizmie, z uwzględnieniem siadania na twarzy”. Można spotkać interpretacje mówiące, że obrazy Beksińskiego to odbicie wojny, której doświadczył jako dziecko. Ale – jak myślę – to błędny trop: lepszy jest ten, który wskazała Jarecka. Obrazy to dekoracje. To w fotografiach tkwi klucz. I w tym, że fotografię zarzucił. Jeżeli się bał, to nie wojny – ale samego siebie.

Pochodził z Sanoka, ale uwielbiał anonimowość mrówkowca. Piotr Dmochowski tak scharakteryzował swojego ukochanego malarza: „Przyznaje bez żenady (...), że jedyną osobą, która go interesuje, jest on sam i tylko on sam. (...) Jego wymarzony świat to zmechanizowana, hałaśliwa i wybetonowana współczesność”. Beksiński – spełniony socjopata. W osiągnięciu nirwany przeszkadzał mu jedynie – bagatela – cały świat. „Nade wszystko chyba nienawidzę chamstwa – pisał w jednym z listów – i to chamstwa w znaczeniu: oglądania chama, obcowania z chamem, problemów chama i wreszcie chama samego jako takiego. Nie chama w znaczeniu przenośnym lub moralnym, lecz chama jako warstwy socjalnej (...)”. Mówiąc krócej: nie znosił Beksiński tzw. „zwykłych ludzi”. Im bardziej był znany, im jego prace były droższe i bardziej pożądane, tym więcej osób czegoś od niego chciało. Wywiadów, pieniędzy, obecności tu i tam, zwykłej rozmowy... Istna lawina nieprzewidywanych wypadków! Dlatego wywiady nagrywał również on, nie tylko dziennikarz – żeby ten ostatni niczego nie przeinaczył. A inwazję gości powstrzymywał, przytwierdzając do podłogi krzesło – butaprenem. Ci, którzy go odwiedzali, mówili, że czuli się jak na przesłuchaniu. I szybko wychodzili. Żeby precyzyjnie zaaranżować codzienne życie, musiał być uparty. I był. Tak bardzo, że stał się impregnowany na krytykę. Był doskonałym retorem – potrafił uzasadnić wszystko. A do wyjścia z domu nikt go zmusić nie mógł. W liście do przyjaciółki pisał: „Nie można zrobić mi większej krzywdy, niż zapraszając mnie na kolację – przepraszam, można, zapraszając mnie na obiad. Nie trawię nawet zaproszeń tego typu, bym wpadł po południu. NIE-NA-WI-DZĘ być zapraszany”.

Jak to możliwe, że tak kiepski artysta był tak nietuzinkowym człowiekiem? Mam wrażenie, że odpowiedź daje historia drugiego Beksińskiego, Tomasza. Bo Tomasz był artystą w dalece większym stopniu niż ojciec – artystą radia, artystą gawędy o muzyce, artystą translacji (mówi się przecież: kongenialny przekład; to Tomaszowi Beksińskiemu zawdzięczamy wirtuozersko spolszczone *Monty Pythony*, w tym zwrot „A teraz coś z zupełnie innej beczki!”, to on tłumaczył Bondy i dziesiątki innych filmów). W swoim życiu spalał się, inscenizował, rzucał się od brzegu do brzegu, był gwałtowny, wybuchał. Miał też dziwactwa, natręctwa, był apodyktyczny i nieporadny, ale w inny sposób niż ojciec. Przede wszystkim nie kontrolował – ani siebie, ani otaczającej go rzeczywistości; wołał się od niej odseparować, uciekał w świat fikcji. Nie kalkulował, nie obliczał, nie odmierzał. Chłonał – czy to kolejne miłości, czy to muzykę, czy to filmy, czy pracę. Ale jeżeli spojrzeć na to wszystko z zewnątrz – jakaż niedojrzałość! Bufonada. Tanie uniesienia. Emfaza. Kicz. Oł, życie „zwykłego człowieka”. Pośledni romans. A jednak jego „dzieło” – audycje, tłumaczenia, autokreacja, którą wypracował – przetrwało próbę czasu, było osobne, nie do podrobienia. Jego ojciec przeciwnie – skrępowany, usztywniony, prowadził życie tak osobliwe, jakby było to permanentne dzieło sztuki (niech miłośnicy „Beksy” wybaczą mi tę herezję). Ale malował prozaicznie, marnie. Tak też zginął – jak ludzie giną od stuleci. 21 lutego 2005 roku zamordował go syn Kazimierza Handlera, złotej rączki, jednej na dziesięć tysięcy. Paweł Handler potrzebował pieniędzy na spłatę długu, który zaciągnął w jakiejś dyskotecie.



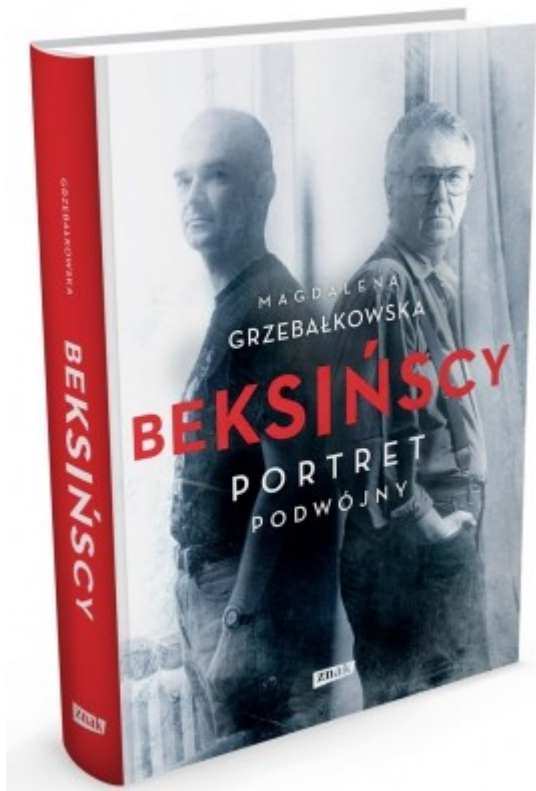
*Study for the Sadist's Corset 3, lata 50.*

---

Książka Grzebałkowskiej ma jeszcze jedną warstwę, fascynującą nie tylko dla miłośników twórczości Beksińskiego. Otóż śledząc losy głównego bohatera, poznamy świat sztuki schyłku PRL-u i pierwszej dekady demokracji. To doskonale uzupełnienie dominującego dziś obrazu, który składa się z epokowych dzieł, uznanych nazwisk (Libera, Kozyra, Bałka...), koturnowych legend (jak ta o sztuce krytycznej) i głośnych wystaw. Tymczasem nie sposób dostrzec całej złożoności życia artystycznego doby transformacji bez wypieranego rewersu: starych-nowych elit, które kompetencje kulturowe wyniosły jeszcze z poprzedniego ustroju, dzikiego rynku sztuki, reklamówek pełnych gotówki (tak samo wypieramy „szczęki”, łóżka polowe i bazyry), w końcu – społecznego i medialnego uwielbienia dla twórców takich jak Beksiński czy Jerzy Duda-Gracz. 2005 rok to koniec pewnej epoki: umierają wtedy Oskar Hansen i Jerzy Jarnuszkiewicz. Ale również śmierć Beksińskiego jest symboliczna: domyka okres transformacji polskiego pola sztuki, ery arte polo, braku spójnych narracji, czasu negocjacji tego, co „wypada”, a co już nie. Obecnie, po ćwierćwieczu, wszystko jest proste, „unieruchomione” – by odwołać się do tytułu brawurowego tekstu Zofii Krawiec i Łukasza Rondudy („SZUM” nr 5), którzy w nawiązaniach do estetyki BDSM w twórczości takich twórców jak Jakub Julian Ziółkowski,

Piotr Janas czy Aleksandra Waliszewska, widzą symbol statyczności dzisiejszego świata sztuki. I wywodzą tę tradycję przedstawić między innymi od Beksińskiego.

PS. W recenzji *Portretu podwójnego* skupiłem się tylko na jednym obliczu – tym związanym ze sztuką. Ale równie fascynującą postacią był syn Zdzisława, Tomasz, o którym jedynie wspomniałem – dziecko uwięzione w ciele mężczyzny, natura tragiczna. Popęłił samobójstwo 24 grudnia 1999 roku. Grzebałkowska znakomicie opisuje ich obu.



Autor: Magdalena Grzebałkowska

Tytuł: *Beksińscy. Portret podwójny*

Wydawnictwo: Znak

Data i miejsce wydania: Kraków 2014

Jakub Banasiak

publikacja: 10.09.2014

ostatnia aktualizacja: 12.09.2014